№ 49. Warszawa, dnia 23 Listopada (5 Grudnia) 1874 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

KRONIKA ZAGRANICZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Najtrudniejszy początek. — Frak i surdut. — Jesień na pustyni. — Książka gościem. — Historya jednej pani i jednej powieści. — Historya Św. Cecylii i społeczeństwa rzymskiego w pierwszych dwu wiekach, przez Don. Guerangera. — Co kosztują książki i inne rzeczy. — Włochy illustrowane. — Roboty kobiece i przemysł domowy na wystawie Wiedeńskiej, przez panią Aglaë von Enderes. — Roboty kobiece: Perskie, Japońskie, Chińskie i Indyjskie.— O różnych haftach i wzorkach. — Nasze ręczniki i koszule. — Muzea etnograficzne. — Panna Mezdorf, konserwatorka Muzeum. — Panna Luiza Büchner historyografka niemiec. — Romans pani Henrietty Paalzow. — Doktorki: panna Symonowicz, panna Szhlözer, panna Kowalewska i Panna Schurmann. — Dwa słowa o kwestyi kobiecéj.

Od czego tu zacząć?? Ze znajomemi czytelnikami którzy nawykli do podobnych listów, nie tyle się człowiek kłopocze, przychodzi do nich w codziennym surducie; — prezentując się po raz pierwszy trzeba być we fraku!! A ja tu, siedząc na pustkowiu za miastem zapomniałem zupełnie o tym salonowym mundurze... i frak mam bardzo stary!! Może mi więc za złe nie weźmiecie, gdy się przedstawię jak stoję w powszednim stroju jesiennym. U nas, choć na niektórych drzewach odrobina liści się trzyma, jesień już czuć bardzo i w piecach palić potrzeba. Nie doczekaliśmy nawet, kanonicznego niegdyś po szkołach terminu, d. 1 listopada. Dni krótkie, lampę przed piątą przynoszą — i, gdyby nie książki, gdyby nie to życie które na skrzydłach papieru dolatuje nas z szerszego, z całego Bożego świata — byłoby bardzo smutno.

Dziś właśnie nawiedziła nas jedna z najpiękniejszych, a najciekawszych książek jakie oddawna się ukazały — tem śmielej pisać o niej będziemy, że niełatwo się z nią będzie spotkać: jest dosyć drogą, bardzo wytwornie wydaną, ale nadzwyczaj zajmującą. Są ludzie i są domy które na nic nie żałują, oprócz książki, obrazu, ryciny, choć niemi karmi się dusza, choć z niemi myśl przychodzi. Czytaliśmy tu w Niemczech niedawno, z tego powodu bardzo zabawną historyjkę. Nim zaczniemy mówić o naszym gościu-książce, rozpowiemy wam ją, bo maluje obyczaj niemiecki.

Otóż, rozpowiada świadek naoczny, — gdy się ukazała powieść w Niemczech bardzo rozgłośna, sławnego autora Bert. Auerbach'a-Walfried (my jej wam zalecać nie będziemy). — pewna majętna dama z Berlina, wyjeżdżała właśnie do wód. Na ulicy spotyka ją znajomy, i między innemi pyta: Czytała pani Walfrieda?

— A! dotąd nie! ale czytałam o nim parę recenzyi, to mi tymczasem starczy. Zapisałam się w czytelni w której się abonuję i mam numer czternasty, kolej więc przyjdzie na mnie i Walfrieda mi przyślą.

— Zdaje mi się — odparł przyjaciel domu, że autora Walfrieda widywałem u państwa, że go znacie?

— A tak, i romansu jestem ciekawą bardzo, żywo zawołała piękna pani, ale książki tak drogie! trzy tomy! zdaje mi się sześć talarów!! Przyślą mi z czytelni!

Przyjaciel domu popatrzył na kapelusik mówiącej to pani, i zdało mu się, że co najmniej kosztował, talarów dwanaście, oczywiście więc nie było już za co kupić Walfrieda.

Tak się rozstali. U wód spotyka znajomy znowu ową panią, w jeszcze piękniejszym kapelusiku i wielce wystrojoną... niewiedzieć dla czego przyszło mu znowu na usta pytanie: Czytała pani Walfrieda?

— A! nie — z westchnieniem zawołała spytana— wystaw pan sobie, miałam w czytelni numer czternasty, dotrzymano mi słowa, przysłano Walfrieda! Niestety! Żebyś widział w jakim stanie!! Cygara, kawa, petrol, atrament, zostawiły na nim ślady... nie licząc niedorzecznych przypisków, zapachów i plam, których początku i pochodzenia zbadać nie podobna Probowałam go czytać w rękawiczkach... ale nie! to było nad siły moje... Musiałam go jak był odesłać.

— I zamówiła pani zapewne egzemplarz z księgarni!

Piękna pani ruszyła ramionami.

— Czasy tak ciężkie! trzy tomy! sześć talarów! a przytem tyle o nim mówią, że się prawie mogę obejść bez czytania.

Przyjaciel domu spojrzał na kapelusz, na suknią z ogonem, na złotą bransoletkę i nie dziwił się, że nie kupiono Walfrieda...

Tak się i u nas często bardzo dzieje, jeden podwieczorek wystawny kosztuje więcej niż dziesięć tomów, które by wiele wieczorów zajęły, a w życiu zostawiły trwałą pamiątkę; jeden gałganek ładny, który jutro pójdzie na śmiecie, pożera tyle że już na książkę nie staje. Jakże często zdarza się nam słuchać wymówek, że jemy skromnie, aby mieć za to choćby drogą książkę — że nie obchodzim się pożyczanemi — ale z nałogów, choćby tak złych i niebezpiecznych jak ten, wyjść trudno...

Ta śliczna i ciekawa książka, którą dziś odebraliśmy z Paryża, jest to: Historya Świętej Cecylii i społeczeństwa rzymskiego, w pierwszych dwóch wiekach po Chrystusie, przez Don Guéranger'a, (opata Solesmes. Wydał ją sławny dom Didotów paryzkich z takim przepychem, jakiego to dzieło uczonego benedyktyna było godnem. Te pierwsze dwa wieki w których się nowy świat w kołysce katakumb chował do przyszłego życia, stanowią jeden z najciekawszych epizodów w dziejach świata. Zdaje mi się że nie ma człowieka, któryby z najżywszem zajęciem nie chciał zajrzeć w tę zamierzchłą przeszłość, którą dziś trzeba czytać z połamanych kamieni, z grobów rozsypanych, z legend i podań, z obłamków wszelkiego rodzaju. Jeźli świat chrześcijański majestatycznie się ukazuje później na widowni dziejowej, to w owych wiekach ubóstwa, walki, prześladowania, ma urok niewypowiedziany, urok taki może, jaki

miał dla pogan i niewiernych, co się na pobojowiskach męczenników nawracali. Życie Świętej Cecylii Don Guéranger'a, zawiera nietylko historyę chrześcijaństwa pierwszych dwóch wieków w Rzymie, ale niemal całe dzieje tej epoki, opowiedziane z głęboką nauką, żywem słowem, a objaśnione przeszło dwóchset pięćdziesięcią illustracyami. Te illustracye same stanowią niemal encyklopedyą sztuki i archeologii pierwszego i drugiego wieku. Nie są to rysunki z fantazyi artysty zrodzone, ale pomniki autentyczne owego czasu, medale, rzeźby, malowidła i t. p. Co najciekawszego przedstawiają katakumby mieści się tu wszystko, przedziwnie, z wielką sumiennością odwzorowane. Tekst też czcigodnego benedyktyna z ową tradycyjną benedyktyńską pracowitością jest wystudiowany, wszystkie doń źródła wyczerpnięte. Ikonografia Świętej cała, począwszy od katakumb aż do naszych czasów, obfita i kompletna. Piękniejszej wewnętrznie i zewnętrznie książki w tych czasach wyszłej, nie znamy. Ma tylko tę wadę że kapeluszom robi konkurencyą i że kosztuje tyle, co nie bardzo strojny kapelusik... Dwadzieścia i kilka franków! na książkę to ogromnie wiele; na śniadanie u Stępkowskiego we dwóch nie wystarczyłoby może. Nie śmiem więc namawiać nikogo, aby sobie wypisał Świętą Cecylię. W przeciągu kilku miesięcy we Francyi wyczerpało się całe pierwsze wydanie, i nim się o niem dowiedziano za granicą, trzeba już było gotować drugie.

Do pięknych książek, niestety — niemieckich — należą illustrowane Włochy, które wychodzą poszytami. Sama treść dzieła nic zaleca się bardzo, nie ma w niej nic tak dalece nowego, ani szczególniej ponętnego, obrazki za to są tak przedziwnej piękności, iż stanowią przepyszne album, nad które bogatszego zapragnąć nie można. Porównywając je z temi zimnemi fotografiami które teraz świat zalewają, czuje się dopiero wielką różnicę, jaka zachodzi między tem co robi machina, a co myślą i duchem odtwarza człowiek. Nie jeden to raz pewnie rysownik się posłużył fotografią jako materyałem, ale w nią wlał już ducha którego ona mieć nie może. Cenny to wynalazek pomocniczy lecz nigdy nie zastąpi artystów i dzieła sztuki.

O wystawie Wiedeńskiej choć to jeszcze nie dawne dzieje, ludzie prawie zapomnieli. Przysposabiają się już nowe, Bóg wie gdzie, w Ameryce, w Chinach!! Wiedeńską pogrzebał ów sławny „Krach" giełdowy. Nie przeszła jednak bez owoców. Mamy właśnie i z niej przed sobą ciekawą dla pań szczególniej, książkę pani Aglaë von Enderes, wydaną w Węgrzech w Buda-peszt, o robotach kobiecych i przemyśle narodowym niewieścim na Wiedeńskiej wystawie. Autorka dokonała z wielkim trudem to, co z początku zamyślano zrobić, oddzielając osobno pracę kobiecą, ażeby ukazać ją w całym blasku. Książka jest żywo napisaną, objaśnioną wielą uwagami i przedstawia obraz różnobarwny, godzien rozpowszechnienia. Dla czego by go nieprzetłomaczono? (Die Frauenarbeit und nationale weibliche Hausindustrie auf der Wiener Ausstelung von Aglaë von Enderes, Buda-pest, Franklin-Verein, w Lipsku u Hässel'a, w Wiedniu u C. Gorischek) Idźmy za pracowitą przewodniczką i szukajmy kobiecego przemysłu w krajach najmniej nam znanych, na wschodzie. W perskim oddziale wszystkie wyszywane kobierce, okrycia, zasłony, hafty delikatne, są dziełem rąk niewieścich. Szczególniej kobierce różnokolorowych kwiatów tysiącem okryte, oryginalnie i przepyszsznie wyglądają. Ile czasu potrzeba było na te ściegów miljony, ale ileż dni nudnie się wlokących po haremach, osłodziła ta mozolna robota!!

Większa część perskich kobierców szyta na cienkiem suknie, koloru czarnego, białego albo czerwonego w pasy, w koła, w arabeski rozmaite i dziwaczne. Jest to sposób naszywania zdaje mi się i u nas znany. Na tle poprzyszywane są kawałeczki powystrzygane różnokolorowe, które kolorowe sznureczki jedwabne, haftowane obwodzą i przerzynają. Głównym motywem są gałęzie i kwiaty. Kobierce te, których jedne części mat, inne połyskująco wyglądają, przepyszne są i rwą oczy.

Drugim haftem jeszcze pracowitszym są wyszywane szale perskie, zwykle brunatnej barwy, lub białe z brunatnem całe pokryte drobnemi delikatnemi kwiateczkami tak gęsto, że tło zaledwie jak cień gdzie niegdzie przeziera. Oprócz tych szyć na wystawie były jeszcze grube materye jedwabne także szyte w kwiaty, z których....panie perskie noszą....ubranię spodnie...(stoking) I około tego wiele potrzeba pracy i trudu, ale obyczaj wymaga aby ta część stroju wyglądała bogato. Rodzaju wyszywania, jako nieoswojeni z igłą i jedwabiem, z tajemniczą dla nas techniką krosienek, nie jesteśmy wstanie opisać tak jak pani Aglaë. Dalej szły na wystawie na płótnie wyrabiane, hafty nakształt koronek niezmiernie zmudne i z wielką wykonane dokładnością. Odznaczały się w śród nich zasłony z bardzo cieniuchnej tkaniny, cudownie podziurkowane najfantastyczniej szyte.

Wystawa perska ze swemi kobiercami portyerami poduszkami i dyndylasami haftowanemi złotem i srebrem, odznaczała się fantazyą, bogactwem, różnobarwnością i żywością farb nadzwyczajną. Jednakże nie wszystkie to roboty są rąk kobiecych dziełem, biedni ludzie w Persyi siadają za krosienkami także a zarabiają w ogóle bardzo mało.

d. n.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dokończenie).

— Okropnie! okropnie! szepnęła Noémi zakrywając twarz rękoma, wynieście tę kobietę; Anno błagam cię.

— Anna zbliżyła się do umarłej i te same smutne oddała jej posługi co i biednemu żołnierzowi; zamknęła jej oczy, złożyła ręce, białą chustką zastąpiła czerwony gałgan okręcający jej głowę i krzyżykiem uczyniła znak krzyża na jej czole.

— Anno, co czynisz? szepnęła Noémi: czyś bluźnierstw jej nie słyszała?

— Bóg ją sądzi teraz, odrzekła Anna poważnie; dla mnie jest ona ofiarą, może nawet i nieodpowiedzialną. Ciemnota w jakiej żyła kto wie czy nie będzie jej usprawiedliwieniem. Ta biedna istota, zrodzona z mętów społeczeństwa, zmarła pośród wstrząśnień jego, jest jednym z tych rozżarzonych węgli które kara Boża zbiera na głowy tych, co oszukują i demoralizują lud ciemny.

— Wynieście ją, powiedziała Noémi; słabo mi się robi patrząc na nią.

— Możemy także odsunąć zwłoki mego biednego współziomka, jeżeli sąsiedztwo jego wywiera na ciebie niemiłe wrażenie, rzekła Anna do Noémi.

— Nie, odrzekła Noémi, przykryjcie go tylko. Co za noc! co za noc okropna! Każcie zamknąć drzwi dość tych dwóch śmierci w jednej godzinie. Która teraz?

Anna spojrzała na zegarek i odpowiedziała:

— W krótce dziesiąta.

— Dopiero? Ach? ta kobieta! ta kobieta!

— Nie myśl o niej Noémi!

— Niepodobna, ona i on w mózgu mi się plączą. Jakaż różnica w śmierci tych dwóch istot.

— Ta sama różnica jaka była w ich życiu, Noémi: tak też i skończyli oboje.

— Anno, okropne mam wyrzuty sumienia.

— Noémi, żałuj i miej nieograniczoną nadzieję.

— Ach! te dwie istoty!

— Nie mówmy o nich, mówmy o czem innem.

— Nie mogę, drętwieję! myśli moje paraliż ogarnia. Co to za wrzaski na ulicy? Anno obacz co się tam dzieje!

Jakiś zgiełk złowrogi dawał się rzeczywiście słyszeć, wsród gęsto powtarzanych wystrzałów.

— Bezwątpienia że coś nadzwyczajnego się dzieje, powiedziała Anna cała drząca, wyjdę na chwilę jeżeli tego pragniesz. Siadaj Maïo nie chcę abyś szła ze mną.

A naciągając szal na głowę wyszła z pokoju.

XXXIV.

Zaledwie Anna wyszła na ulicę natychmiast została przejętą przeczuciem wielkiego, niespodziewanego nieszczęścia. Spojrzenie jakie rzuciła ku niebu zwiększyło jeszcze to przykre wrażenie: niebo zdawało się być zaognionem, dziwny szmer aż do niej dochodził a ucho jej obyte, niestety! od kilku dni, z ponurym hałasem wojny, chwytało dźwięki nowe, stokroć więcej przerażające.

Pierwszą jej myślą było powrócić do Noémi, lecz odzyskując wkrótce całą energię, przeszła pewnym krokiem przez pustą ulicę i idąc wdłuż domów doszła aż do barykady na wpół rozwalonej.

Nie bała się wejść po jej rumowiskach, ale gdy do wierzchołka się dostała, przerażenie i zgroza ścięły krew w jej żyłach.

Najpiękniejsza część Paryża rozciągała się przed nią fosforycznym blaskiem oświetlona.

Na widnokręgu iskrzyła się jak ostateczne urągowisko, złocona kopuła Inwalidów a z pośród ciemności wypływał Gmach Ciała Prawodawczego, jego pyszna kolumnada, Kryształowy Pałac i plac de la Concorde, zarzucony rozprutemi workami, połamaną bronią i rozrzuconem ubraniem. Jedna z syren wielkiego wodotrysku miała pierś kulą armatnią rozdartą, i okazywała swą szeroką ranę, statua miasta Lille z urwaną od granatu głową, była już tylko ogromnym trupem; pałac Tuilleries okrywały ciężkie i czarne chmury dymu; wielki lew parapetu zdawał się przysłuchiwać rykom ludzkim chwilowo plac napełniającym.

W tem, czerwonawe światła wzmogły się straszliwie, gęste snopy płomieni, przerzynając ciemne massy dymu zebranego nad wielkiemi drzewami Tuilleryjskiego ogrodu, wystrzeliły w ognistych językach ku niebu, rzucając na cały Paryż niewypowiedzianą jasność.

Krzyk mimowolny wyrwał się z ust Anny:

— Paryż się pali! zawołała padając na kolana.

Paryż się palił; była dziesiąta wieczorem, i z pałacu Tuilleries wychodził pierwszy sygnał tych pożarów, mających pokryć Paryż ruinami, a Francyą wstydem i boleścią.

— W obec majestatycznej zgrozy tego widoku, Anna uczuła że siły fizyczne ją opuszczają.

Na szczęście uczucie własnego bezpieczeństwa wyrwało młodą dziewczynę z letargicznego odrętwienia które wszystkie jej członki było owładło. Ludzie, żołnierze, biegli ze stron wszystkich i spieszyli ku pałacowi Tuilleries, widocznie dla przytłumienia pożaru, lecz szaleńcy oszańcowani w Ministerstwie Fi-

nansów, strzałami zapał ten powstrzymywać usiłowali. Podobni do szatanów oddanych piekielnym rozkoszom zniszczenia, ukazywali się w oknach, czarni od prochu, pijani wściekłością.

W powietrzu kule świstały, a kilka pocisków z złowrogim dźwiękiem o kamienie uderzając padło przy Annie, która klęczała z rękoma złożonemi, bez ruchu, bez łez, bez głosu.

Wstrząśnienie fizyczne jakie ztąd uczuła, sprawiło dobroczynne wstrząśnienie moralne.

Gwałtownym wysiłkiem woli powstała.

Łzy które przerażenie w oczach jej ścinały trysnęły potokiem. Z błagalnem spojrzeniem, tak jakby czuła rzeczywistą obecność Tego którego wzywała wzniosła ręce ku zaognionemu niebu.

Po tej niemej prośbie, zsunęła się z barykady i znalazła się znowu na ulicy Saint Florentin.

Chwiejącym się krokiem wróciła do domu zamienionego na ambulans, nie zdolna zapanować nad dojmującą boleścią która ogarniała jej serce.

Zaledwie stąpiła na próg posępnego pokoju usłyszała wołanie.

— Anno, Anno, jakżeś się długo bawiła! mówiła Noémi głosem dziwnie osłabionym. Jakżeż ta godzina długą mi się wydała! Co się tam dzieje?

— Panienko, co pani? — zapytała Maïa.

Zlodowaciałe usta Anny nie były zdolne do odpowiedzi, lecz bladość jej uderzyła Noémi.

— Co się tam dzieje? — powtórzyła, tak długo ciebie nie było. Anno nie lękaj się już mnie nic przestraszyć nie może.

— Nędznicy! Paryż palą — odpowiedziała Anna.

Dreszcz przebiegł po ciele Noémi.

— Ah! co mówisz? — wyjąknęła boleśnie.

Anna zakryła wybladłą twarz swoją.

— Anno, mów do mnie, ciągnęła Noémi, potrzebuję słyszeć głos twój, powiedz mi że mnie słuch omylił. Oni nie mogli posunąć się tak daleko.

— Dla czego mnie się wypytujesz Noémi? odpowiedziała Anna wzdrygając się. Powinnam była tej strasznej prawdy ci nie wyjawiać, lecz myśl się moja w obłęd zapada gdy na niej się zatrzymuję.

Czy widziałaś ogień? zapytała Noémi której życie we wzroku skupiać się zdawało.

— Widziałam, niestety.

— Gdzież się zaczął?

— W pałacu Tuilleries.

— Może z jakiego wypadku?

Gdy wymawiała te słowa, weszła nagle pani Barlot a za nią Wiktor do najwyższego stopnia przerażony.

— Ah, potwory! potwory! zawołała; cały Paryż się pali!

— Wszystko gore! krzyknął Wiktor przeraźliwym głosem.

Krzyk przytłumiony wyrwał się z piersi Noémi i krew z ust jej trysnęła.

— Ach! Panie, Panie! załkała Maïa ręce załamując.

— Cicho! cicho! na miłość Boską, zawołała Anna szybko powstając aby przyjąć w swe ramiona Noémi, której głowa w tył się zwieszała.

Tym razem Anna przypuściła że to już niestarta bladość śmierci rozciągała się na twarzy rannej. Ciało jej stało się prawie bezwładnem, utrudniony jej oddech straszliwe miewał przerwy. Anna widziała jednakże jak przytomność, lecz już nie życie, zwolna się ukazało w jej obłąkanych oczach.

— Ten potworny zamach skończy się może na niczem, szepnęła Anna; miejmy nadzieję.

Noémi poruszyła ręką jak gdyby milczenie jej nakazując, a głosem słabym i głuchym wyrzekła:

— Mów mi o Bogu, Anno, tylko o Bogu, wszystko inne już znika przede mną.

— Anna przejęta wyrazem jej głosu, upadła na kolana.

— Mówmy do Boga, zawołała dając znak Maï aby poszła za jej przykładem.

Złożyła ręce umierającej w swoich dłoniach, a wznosząc ku niebu wzrok błagalny i pełny łez zwolna mówić poczęła:

— Ojcze nasz któryś jest w Niebie.....

Oczy Noémi spoczywały na twarzy Anny, usta się jej poruszały jakby powtarzając słowa modlitwy, a blada twarz coraz się większą łagodnością oblekała.

Gdy się modlitwa skończyła, zamknęła oczy na chwilę, a potem dając znak Annie aby się do niej zbliżyła, szepnęła:

— Moi biedni Rodzice! pożegnasz ich ode mnie jednem słowem miłości i żalu. Byłam okrutną, powiesz im że bardzo żałuję, żem tyle cierpień im sprawiła.

— Powiem to im Noémi.

— Czy czujesz jak mi ręce lodowacieją.

Skinieniem głowy Anna potwierdziła jej słowa, ręce Noémi które w swoich trzymała stały się jakby marmurowe.

— Przynajmniej, umieram zupełnie przytomną, ciągnęła. Życia nie żałuję, śmierć, to prawdziwa wolność. Anno, w tej chwili doznaję dziwnego uczucia, mam jakby przeczucie nieśmiertelności.

— Noémi błogosławmy Bogu.

— O! Bóg jest dobry, Anno, Bóg przebaczy!

Umilkła a potem rzekła:

— Ach! tak, Anno, moja wiara, wiara mojej młodości budzi się we mnie, wierzę.....wierzę i kocham.... lecz dusza mnie pali..... Czuje się bardzo winną, winną przeciw Bogu, przeciw rodzicom i przeciw społeczeństwu.

— Noémi, Bóg jest najwyższem Miłosierdziem, najwyższą Miłością. Wspomnij na Kalwaryą.

— Ach! tak Kalwarya!... Ileż to miłości!...

Anno... krzyżyk twój.

Anna wsunęła krzyżyk w jej ręce, oczy jej gasnące wpatrzyły się w święty wizerunek, potem, do ust go przyciskając załkała:

— Przebacz... o! przebacz!

— Noémi wymów imię Zbawiciela.

— Jezu! Jezu!

Annie zdawało się, że z tem Boskiem słowem na ustach ducha wyzionęła lecz znowu ranna oczy otworzyła.

— Anno, nie boję się już śmierci, szepnęła, ale jakże bym chciała umrzeć przebaczoną, rozgrzeszoną.

W chwili gdy to żądanie objawiała, drzwi się otworzyły i wszedł brat Karol.

Anna rzuciła się ku niemu.

— Kona! żywo lecz ścicha zawołała, błagam cię wuju kapłana przyprowadź!

Brat Karol odwrócił się, a wskazując człowieka który szedł za nim rzekł:

Oto jest, ojcze spełnij swoją powinność!

H. K.

PO OŚMIU LATACH.

FRAGMENT POWIEŚCIOWY

napisała **Marya Szeliga.**

— Stacya Warszawa! — krzyknął konduktor kolejowy.

Użyłem tego czasu na pożegnanie się z towarzyszami i towarzyszkami podróży, którzy nie mieli zamiaru tutaj wysiadać; dopomogłem jednej z dam z sąsiedniego *coupé*, ponieść ciężką torbę podróżną—i wszedłem do pasażerskiej sali, celem odebrania bagaży. Z przyjemnością, choć nie wolną od lekkiej odcieni smętku, rozglądałem się w około. Kilka to już lat ubiegło, gdym siedział na tej samej kanapie, patrzył w to samo okno, i przesyłał ostatnie pożegnanie grodowi Syreny. Nie byłem wówczas zbyt wesoły— serce mi drżało tęsknotą za tem co rzucałem dobrowolnie, a przecież z najwyższym żalem. Pamiętam —tu, w tem miejscu właśnie, gdzie stoi teraz moja znajoma z wagonu — stała także smukła kobieca postać... skład rysów i ruchy uzupełniają moje wspomnienia. Była ona także młoda, ładna; tylko miała jasno-niebieską sukienkę, kapelusz podpięty różą.... a ta dama, ubrana jest w szarą wełnę. Ha! nie dziw —wtedy był ranek majowy, dziś jesienny wieczór zniewala do owinięcia członków w ciepłe osłonki przeciw wichrowi i deszczowej wilgoci... Wtedy łza paliła moje źrenice, lecz tam na widnokręgu, uśmiechała się do mnie nadzieja, wabiła nieznana a ponętna przyszłość, migały tęcze złudzeń i wschodziły gwiazdy pragnień — dziś... spokojnie czekam rychło mi rzeczy uwolnią, i bez pośpiechu, obojętnie, powrócę w dawne szlaki. Ośm lat temu... z rozpaczliwą energiją wskoczyłem do wagonu, a *ona* chcąc utrzymać moją odwagę bodźcem dumy — oparła swą główkę na ramieniu swego narzeczonego. O! pamiętam to dobrze! Dzięki Bogu, że przy nieznajomej damie nie stoi żaden wąsaty obywatel. Zrobiłoby mi to przykrość: wolę ją widzieć samą dziękującą mi z uśmiechem za krzesło podane — wyobrażam sobie, że to jest *ona*...

Niestety! po co to wspomnienie? Przed ośmią laty Juljanna i ja rozstaliśmy się na zawsze.

Rozstanie było spokojne, bez wymówki, bez uniesień, bez słów. Powiedziałem im na kilka dni przedtem że wyjeżdżam, nazajutrz w ogrodzie Juljanna spotkawszy się ze mną, oznajmiła, że idzie za mąż; oboje faktami tłomaczyliśmy nasze zamiary... Odprowadziła mię z matką i z narzeczonym na kolej — odpłaciła mi z lichwą, ból jaki jej sprawiał mój wyjazd, bólem zazdrości i żalu co przejął moje serce... Pojechałem. Odtąd nie wiem co się z nią dzieje!

Ale otóż nieznajoma ukłoniwszy się, opuszcza salę, komissyoner niesie moje rzeczy, wsiadam w dorożkę, i każę się wieść do hotelu, w którym po tylekroć, tyle wesołych spędziłem godzin...

Wspomnienia krążą około mnie, wdycham je z powietrzem... Bylem tylko zastał niegdyś mój pokój niezajęty...

Przez tyle lat, rzadko kiedy wracałem myślą w przeszłość; dziś mi się ona uprzytomnia... Na tym moście... ileż to razy staliśmy z Juljanną, patrząc w mętne nurty Wisły!

Mówią, że pierwsza miłość jest idealną mrzonką o uczuciu, które dopiero później w sercu wykwita; być może, jeśli weźmiemy w rachubę rozbujałe poloty wyobraźni podrostka. Lecz gdy dwudziesto dwu letni młodzieniec, z charakterem silnym i umysłem rozwiniętym, poczuje ogień miłości w sercu i głowie, to nie mrzonka! bo to wypala na moralnej istocie człowieka bliznę niczem nie zagładzoną!

Ja sam, usiłowałem wmówić w siebie, żem nie kochał prawdziwie Juljanny. Nasze położenie towarzyskie było różne; ona, artystka, śpiewaczka, panienka uboga, bez świetnej przyszłości, ja — syn jedyny arystokratycznego rodu potomków. Zestawienie, wystarcza bez komentarzy. Żenić się z Juljaną nie mogłem, kochać ją — sam sobie wzbronić nie umiałem. Widząc jasno swe położenie, znając nieugięty i czysty charakter dziewczyny, z góry byłem pewien, że miłość nasza będzie bez jutra, że brnąc coraz więcej w toń wzajemnego uczucia, utrudniam wyjście — które było nieuchronną koniecznością.

Z początku, widywałem ją rzadko, w zachowaniu się jej względem mnie, była oziębłość zdradzająca nieufność. Bolało mię to, choć czułem, że słusznie

rzecz sądzi... Zapragnąłem zyskać jej przyjaźń — a starałem się niechcący o miłość.

Zbliżyliśmy się, duszom gorącym, żądnym wrażeń, podobnym do siebie w objawach, to tak łatwo przychodzi, tak miło! Aniśmy się spostrzegli, jakieśmy się wzajem wyspowiadali sobie ze swych poglądów, marzeń, i uczuć...

Stałem się w ich domu codziennym gościem, na każdem wystąpieniu Juljanny, z bijącym sercem zajmowałem najbliższe sceny krzesło, czekając rychło zabrzmi jej miły srebrny głosik, a pierwsze wejrzenie jej pobiegnie naprzeciw mego. Przy powrocie z teatru, spotykała mię zawsze u bramy swego domu, podawała mi rękę, i oboje szczęśliwi, zadowoleni, swobodni jak dzieci wchodziliśmy do pokoju, gdzie nas witała jej matka.

Jaki to był miły ten salonik na drugiem piętrze z balkonem na ogród, zkąd pieśni ptaszęce mięszały się z dźwięcznym szczebiotem Juljanny. Skromnie umeblowany, przybrany tylko kwiatami, fortepian w rogu, szafka z książkami, mała kanapka, na dywanie leniwy psina, pieszczoch domowy, obicie niebieskie, i woń fijołków w powietrzu... Pamiętam szereg różnorodnych wrażeń przebytych w tym miłym zakątku.

Nigdy nie powiedziałem Juljannie że ją kocham, nigdy od niej nie żądałem jej uczuć dowodu. Na co słów, gdy mówią oczy, westchnienia, drżenie ręki? Serca mówią głośno do siebie...

Czytywaliśmy głośno Słowackiego, ulubionego nam obojgu poety... on był naszym powiernikiem i pośrednikiem.

Pewnego wieczoru, deklamowałem jej ustęp z Kordyana—zakończyłem na słowach.

Na jednego anioła — dwóch dusz ziemskich trzeba!...

Przejrzysty rumieniec oblał jej twarzyczkę, spuściła oczy we mnie wpatrzone; mimowolnie chwyciłem jej rękę i uścisnąłem w milczeniu. Zrozumieliśmy się—lecz...

Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

Obawiałem się sam siebie. Nie chciałem dojść do wyznania, bo przecież musiało się wszystko skończyć. Matka moja usłyszawszy o moich stosunkach z Juljanną, robiła mi wyrzuty; chciała mię ożenić, lub wysłać za granicę; wybrałem to ostatnie.

Długo nosiłem się z tą smutną tajemnicą. Juljanna przeczuwała ją instynktem kochającego serca. Wieczory nasze były mniej wesołe, wmięszał się do nich żywioł obcy, konkurent Juljanny, typowy konkurent; był bowiem bogaty, zakochany, obywatel wiejski, niemłody a czerstwy.

Wybrałem porę, w której prawdopodobniej miały nastąpić jego oświadczyny. Przyszedłem wcześniej niż on, zastałem Juljannę grającą rzewną przegrywkę do aryi z Violetty.

— Zaśpiewaj mi ją pani na pożegnanie, rzekłem nagle.

Ręce Juljanny opadły bezwładnie na klawisze, jęk przeciągły dyssonansu towarzyszył zapytaniu: — Jedziesz pan? Na długo?...

— Na kilka lat—odparłem, po raz pierwszy unikając jej wzroku.

Czułem jednak, że mię nim przeszyła jak nożem. Wstała i wyszła na balkon. Serce rwało mi się za nią... rozum oparł się stanowczo. Nie poruszyłem się z miejsca.

W tydzień potem byłem na drodze do Paryża.

. . . .

Wspomnienia, to niebezpieczny narkotyk. Zrazu cudne obrazy rozweselają umysł i serce, po tem... czuje się gorycz, głowa chyli się ociężale, ręce opadają bezwładnie, i człowiek z trudnością przychodzi do normalnego stanu.

Znalazłem mój pokój w hotelu — to samo umeblowanie, nawet szyba na której wyrżnąłem swe cyfry tylko jam już nie ten!.. Znużony upadłem na łóżko, i zamiast śnić jak dawniej sny złoto-różowe, lub spocząć snem dobroczynnym młodości, jam przedumał część nocy, ledwo nad ranem kamienny sen skleił mi zmęczone powieki. Obudziłem się z bólem głowy, nie wiedząc nawet gdzie się znajduję.

Ileż to razy, rześki, wesół i ochoczy, zrywałem się rano, jak motyl śpiący na kwiatach, i goniący za nową życia słodyczą... Nie jestem jeszcze stary, mam lat trzydzieści, a przecież na skroni mej dojrzeć już można nitki srebrnego włosa, na czole dwie głębokie zmarszczki wyryła myśl smutna, ślad rumieńca, zdrowia uciekł z policzków. Życie wypisało na mnie swoją historyę, nie była ona gorszą od wielu, nie zawierała szeregu skandalów i nadużyć, lecz były tam epizody smutne i szalone. Przez ciąg tych lat ośmiu straciłem matkę i siostrę byłem zdradzony przez kobietę dla której kaprysu raniłem w pojedynku mego najlepszego przyjaciela, okradziony zostałem przez zaufanego sługę, jednem słowem piłem do syta z czary życiowej. Miałem też przyjemność być czas jakiś bożyszczem salonów i pieścidełkiem dam, lecz że na tę rolę trzeba, albo wychować się całkowice głupim, lub zgłupieć z dobrej woli, wycofałem się dość prędko, ustępując miejsca wiercipiętom za któremi przepadają te poczciwe, zdenerwowane dusze. Nauka mię pociągnęła, oddałem jej się z zapałem, lecz i ona źle się ze mną obeszła; im więcej dojrzewał mój umysł pod jej wpływem chłodło ciepło poglądów i dążeń, stygło serce, toczone robakiem wątpliwości i goryczy.

Dawniej piękny widok, czyn szlachetny, myśl podniosła — działały na mnie rozpłomieniając całe moje jestestwo, dziś... włóczę się po muzeach i galeryach jak mara, słucham wszystkiego co mówią w koło mnie z szyderskim półuśmiechem, i będąc sam z sobą powtarzam wzdychając.

I pusto, smutno, tęskno.!. jak gdy szczęście minie!

Zaczynam wierzyć, że mając to szczęście, zrzekłem go się, i dobrowolnie opuściwszy leciałem go szukać jak szaleniec. Co to za różnica tego roku od owego, gdym dnie spędzał marząc o przyszłości pełnej czynu, a nadewszystko, o mojej Juljannie!...

Wiara, miłość, nadzieja, symbol szczęścia, miałem go, zniszczyłem... Jakaż próżnia w mej duszy!...

Sprobuję wejść w świat niegdyś mi tak miły i drogi. Może zdołają mię wyrwać ze stanu apatyi moje piękne kuzynki i weseli kuzynkowie.

Od jutra najmuję inne mieszkanie, osiedlam się tutaj, zrywam ze wspomnieniami, wchodzę w sferę potoczystej teraźniejszości... Ach! jednak jakżebym pragnął dowiedzieć się czego o Juljannie.

. . . . ; . . . .

Nowe mieszkanie jest bardzo miłe. Mam dziwne pod tym względem uprzedzenie: dość mi wejść w bramę jakiego domu, już odnoszę wrażenie, często przeciwne z otoczeniem, ale któremu się chętnie poddaję.

Są domy eleganckie nawet, wktórychbym za nic nie mieszkał: są buduary, obudzające w rażenie wstrętu i obrzydliwości: są pokoje, w którychbym nigdy nie zasnął, a są inne, takim był salonik Juljanny, gdziebym życie całe przebył z rozkoszą.

Przywykłem do obserwacyi, martwe sprzęty są dla mnie wymowne.

Przyniesiono mi naprzykład meble świeże, które dla swej nowości były mi nieznośne. Zażądałem używanych, w guście rococo. Powitałem je jak dawnych przyjaciół; są tak stateczne, zaszanowane i czyste, że musiały stać u jakiej zacnej matrony, widywać dostojnych gości, i być świadkami scen pełnych powagi. Harmonizuje to z mojem usposobienem, choć w przeciwieństwie do tych zacnych antyków, przywiązałem się niezmiernie do małej kanapki buduarowej blado-niebieskim krytej jedwabiem! Zdaje mi się, że widoczne na niej ślady ugięcia, pod zwinnemi kształtami młodej śpioszki, w rodzaju Juljanny, którą czasem zachodziłem rozespaną, z rozrzuconemi jasnemi lokami i licem różowem jak zorza, po chwilowej drzemce poobiedniej.

Jutro składam wizyty... a i porzucę ten zwyczaj notowania myśli!...

. . . .

Trudno się pozbyć tego nałogu powierzania papierowi uczuć i wrażeń.

Tak rzadko znaleść przyjaciela, coby nas jeźli nie odczuł, to przynajmniej zrozumiał... a człowiek pragnie wywnętrzyć się i wyżalić, bo mu zbytek myśli kamieniem umysł przygniata!

Wracam z wizyt. Oh! jakież one puste, czcze, bezbarwne! Krasiła mi je niegdyś młoda wyobraźnia, dziś przestałem patrzeć przez pryzmat własnych uczuć — i widzę tych ludzi bezdusznych, bezkrwistych, jak automaty przybrane w modne ubrania z mitrą lub herbem w miejscu gdzie człowiek winien mieć serce... Nigdy do nich nie przystanę!

Jestem samotny, smutny, i złamany. Obawiam się aby nie dostać melancholii.

. . . . , .

Między tłumem papug niewieścich zapełniających salony, wyróżnia się piękna młoda dziewica, hrabianka Liwadja. Obojętnie ją obserwując, znalazłem w niej wiele powabu i nawet przymiotów. Stosunkowo do urodzenia prawie uboga; umie godzić wytworność z prostotą, obejście ma dosyć śmiałe, zdanie własne niemal gruntowne, wykształcenie lepsze od wielu.

Serce moje zamarło i przepaliło się na popiół, lecz jeźli ta kobieta jest tem, czem się być wydaje, byłbym dla niej dobrym mężem.

Hrabianka Liwadja jest moją kuzyną, widujemy się często, badam ją pilnie, bynajmniej nie wyjawiając niczem swych zamiarów. Ciekawy jestem, czy ona kochała kiedy i jak pojmuje uczucie. Muszę się dowiedzieć.

Liwadja obecnie ma dwóch starających się o jej rękę; starego, bogatego księcia i młodego obywatela ziemskiego. Oprócz tego, widuję u niej fotografię bladego kuzynka, który na balu, coś długo z nią mówił w kadrylu.

Jeśli serce jej wolne, ożenię się z nią. Może spokój i szczęście domowe, nada nowy kierunek mej łódce bez steru.

Konkurenci są przez nią wyśmiewani, jestem więc pewnym z tej strony; kuzynek chyba także nie straszny... Studiując grę twarzy Liwadji, zdaje mi się że ona kocha, ale kogo?

. . . .

Już wiem. Liwadja od dziecka wychowywała się z synem swej nianki, chłopak był zdolny, obecnie wykwalifikowany inżynier, przybył tutaj, popatrzeć w cudne oczy swego bóztwa. Zszedłem ich znienacka, widziałem wzruszenie Liwadji, umiałem ją podejść i zmusić do pół-wyznania. Nie będę im przeszkadzał, owszem, pomogę młodzieńcowi. niech się pobiorą. Nie ma tam mezaliansu gdzie jest równość uczuć i umysłów.

Ha! gdybym miał to pojęcie przed ośmią laty!... Zapóźno!

. . . .

Oto są kobiety wielkiego świata! Liwadja przyjęła oświadczenie księcia!

Byłbym oburzony gdybym nie czuł głębokiego wstydu... ujrzałem bowiem moje moralne zwierciadło. Liwadja kocha Józia, jak ja kochałem Juljannę, a wy-

rzeka się, wypiera własnego serca... i ja to uczyniłem przecież z dobrą wiarą w słuszność mego czynu...

Ludzie! jesteście szaleni! Co mnie po złocie, po koligacyi, co po blichtrze światowym, gdy szczęścia za miljony kupić nie mogę?!

Powiedziałem Liwadji w oczy, co myślę, nie ukrywałem dłużej żem miał zamiar starania się o jej rękę. Jestem młodszy i równie majętny jak książę, uważałem że Liwadja zrazu obojętna, ożywiła się nagle. Pod wpływem tej wieści i co najdziwniejsze, że obracając w żart swą miłość z Józiem i zaręczyny księcia, zaczęła mię kokietować!

Ah! dopiero w drugich poznajemy własne ułomności! I jam w miesiąc po roztaniu z Juljanną, klęczał u stóp baronessy starszej odemnie o lat dziesiątek, bo mi potrzebne były wpływy towarzyskie! Brzydzę się sobą, światem, obłudą...

Nad moją głową jakiś smętny głosik nuci aryę z Violety: błogosławię sprawczynię tej rozkoszy... czuję balsam w głowie i w sercu.

Nie mam odwagi iść do teatru na operę... boję się wspomnień, tego widma co patrzy szklannymi oczyma i pyta o przeszłość zmarnowaną głosem wyrzutu sumienia!...

. . . .

Biorę się do pracy — miałem zawsze pociąg do chemji i nauk przyrodniczych, dziś pragnę sobie z nich stworzyć cel życia. Siedzę ciągle w domu — mam nadzwyczaj miłe sąsiedztwo: ktoś gra i śpiewa na górze pieśni i melodye znane mi i drogie... często przymykam oczy i słucham, ulegając złudzeniu że to głos Juljanny. Silniejszy on trochę, i bardziej wyrobiony, ale podobny — dziwnie podobny... Ja jej nigdy nie zapomnę! jam ją kochał całą siłą uczucia... Stałem się samobójcą moralnym: słusznie cierpię!

...Smutny dziś wieczór zimowy! Ogień zagasł na mym kominku, wicher świszcze niezgłuszony nawet wrzawą uliczną. Czuję się bardzo rozdrażnionym. Ach! łagodne dźwięki fortepianu dochodzą do mnie z góry — sąsiadka moja czuwa także; otoż zaczyna śpiewać. Boże! jak jej głos tętni w mem sercu!.. przegrywka ta sama... śpiew ten sam... nie! to być nie może... Tak, ależ tak... to ona! to głos Juljanny!..

. . . .

Zadrżałem — i zerwawszy się z krzesła biegłem jak szalony. Stanąłem u drzwi sąsiadki. A jeźli się mylę?.. spytałem sam siebie — i na to przypuszczenie mróz mię przejął. Poznałem jak pragnąłem wskrzesić tamtę chwilę. Głos dochodził czysty, miękki... młodość moja wracała mi do piersi... pulsa mi biły jak niegdyś... porwałem za klamkę — szczęściem drzwi były otwarte, wbiegłem bez tchu i krzyknąłem:

— Juljanno!

Smukła postać kobieca, czarno ubrana, wstała od fortepianu, i stanęła przede mną, nie wymówiwszy ani słowa.

Chwyciłem jej ręce, spojrzałem w oczy, były to te same śliczne oczy, ten sam uśmiech łagodny, była to istotnie moja Juljanna.

— Pamiętasz mię? —pytałem w upojeniu radości.

Za całą odpowiedź wzięła moją rękę, i przycisnęła ją do ust: było w tej pieszczocie coś wymowniejszego nad słowa... czułem w tem miłość, i żal i podziękę, i pokorę jakąś i oddanie się zupełne.

— Juljanno! — mówiłem usiłując oprzytomnieć— gdzie mąż twój?

— Nie poszłam za mąż, nie mogłam odważyć się, odrzekła.

— Jakto? miałażbyś być o tyle wierną naszemu duchowemu związkowi?..

Oh! jak ty mię upokarzasz Juljanno!

Spuściła oczy. Nie! odparła — kochałam cię zawsze lecz... nieraz i mnie szał rozpaczny ogarniał myślałam że się nigdy nie spotkamy...

—I pocieszałaś się, rzekłem z powracającą goryczą

— A ty! nie chciałżeś się żenić z hrabianką Liwadją?

— Zkąd wiesz? Wie działś więc że ja tu mieszkam... i milczałaś!! zawołałem z wyrzutem.

— Dotąd jeszcze w wirze świata, nie zatraciłam własnej godności, wymówiła dumnie odsuwając się ode mnie.

Usłyszałem znów dawną Juljannę: wzruszony oszołomiony, — lękałem się tylko aby to nie był sen łudzący.

— Juljanno, rzekłem — chcesz zostać moją żoną?

Oddała mi obie ręce. Czułem się szczęśliwy jak dziecko. Juljanna chciała mi opowiedzieć przejścia swego życia.

— Nie chcę nic słyszeć moja droga! Każdy błąd twój byłby dla mnie wyrzutem, każda cnota wymówką żem ten skarb rzucił nie poznawszy co stanowi szczęście na świecie! Zapomnijmy tych ośmiu lat! bądźmy szczęśliwi.

— Amen! dodała Juljanna.

Jakże słodko nasze serca biły znów przy sobie; jak się porozumiewały nasze dusze utęsknione!.. Rzewne uczucie przebytej rozłąki, podniecało uniesienie radości. Ukochany nasz Słowacki zdawał się nam błogosławić ze swego wzniesienia pośród kwiatów, gdzie umieściła jego popiersie Juljanna. Dwie dusze ziemskie złączyły się tworząc miłości anioła.

. . . .

Gdy moja rodzina dowiedziała się o spełnionym fakcie mych zaślubin ze śpiewaczką, oburzyła się i przy pierwszem ze mną spotkaniu zakrzyczała:

— Coś ty uczynił szalony człowiecze!

— Winszujcie mi! zawołałem z zapałem, mało ludzi może jak ja, dogonić szczęście, po ośmiu latach jego zaguby.

Zgorszenie i ironja odmalowały się w wszystkich twarzach, jedna kuzynka tylko, wówczas już księżna Liwadja, zbliżyła się do mnie, uścisnęła mą rękę i szepnęła z westchnieniem:

— Ah! gdyby każdy mógł tak błąd swój naprawić... Niestety! Winszuję ci kuzynie!

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

W Suspension bridge nowy spotkał ją kłopot. Bilet jej tylko dotąd był ważnym, ztąd zaś do miasteczka Hamilton w Kanadzie, gdzie brat jej mieszkał, było angielskich mil 60 i przejazd kosztował 2 dolary. Nie mogąc opłacić przejazdu musiała biedaczka pozostać w Suspension bridge. Chodziło jej więc by wydobyć kufry swe z pomiędzy pakunków, tak by mogła udać się do jakiego hotelu i tam przeczekać dni parę, aż brat jej przyszle pieniądze na drogę.

Lecz była to Sobota, a w purytańskiej Kanadzie, równie jak w Stanach, nie wydają pakunków od Soboty wieczór do Poniedziałku z rana. Nawet urzęda telegraficzne zamykają tu o 7-ej wieczorem w Sobotę i otwierają je dopiero w Poniedziałek. W Kanadzie nie wolno widocznie ani umierać ani chorować w dzień Sabatu, gdyż odbierają ludziom środki do sprowadzenia księdza lub lekarza.

Biedna panienka bez grosza, bez tłomoków, bez jedzenia, musiała więc wyczekiwać Poniedziałku. Dozorca pod żadnym warunkiem nie chciał ją przyjąć do swego domu i pokazując jej drewnianą ławę w sali, radził by na niej przespała dwie noce.

Po chwili, gdy dziewczę płakało rzewnie, począł niby rozczulać się nad jej losem i pocieszać ją. W krótce przysunął się do niej i szepnął coś do ucha.

Twarz dziewczyny zapłonęła oburzeniem i wstydem. Szybciej jak to napisać mogę zamknęła drobną rękę i prawdziwie po angielsku uderzyła w twarz człowieka schylonego nad nią. Uderzyła go tak silnie iż zachwiał się, a ona korzystając ze zdumienia jego wybiegła szybko na dwór.

Wyszedłem za nią. Za dworcem, pomiędzy stosem dębowych dylów, znalazłem ją płaczącą rzewnemi łzami. Grzecznie lecz stanowczo zapytałem o dowody iż cała jej historya zgubienia pieniędzy i posiadania kufrów nie była zmyśloną. Po chwili pokazała mi swe znaki od kufrów, a od towarzyszów jej podróży z Nowego Yorku do Suspension bridge dowiedziałem się, iż rzeczywiście straciła torebkę.

Bez wahania zdjąłem kapelusz z głowy i wchodząc pomiędzy Francuzów i Anglików siedzących w jednej części powozu, wrzuciłem doń dolara. Łzy dziewczęki i przykład mój zachęciły i innych do dawania; w mgnieniu oka pięć dolarów leżało w kapeluszu. Jakiś poczciwy stary Irlandczyk nie mający pieniędzy, wydobył plaid czyli szal ciepły i chciał go ofiarować by się nim okryła.

Z zebranych pieniędzy mogła już biedaczka i w hotelu przespać się i w Poniedziałek wyruszyć do domu. Dziękowała nam szczerze, ja ledwie zdołałem się wymknąć przed ucałowaniem w rękę.

— Nie dziękuj dziewczyno, rzekłem, lecz każdą razą gdy znów usłyszysz takie szepty jak tej nocy słyszałaś, zamknij usta rozpustnika, w tenże sam sposób.“

Pociąg począł ruszać. Chwil kilka stałem na galéryi zewnętrznej i patrzyłem na dzieweczkę stojącą pod lampą i liczącą pieniądze. Uśmiechała się biedaczka i płakała zarazem, jak to się często wydarza młodym panienkom.

Wreszcie wagony posuwają się zwolna; dzieweczka znika mi z oczu. Bywaj zdrowa ty energiczna Angielko, i niech dalsza twa podróż upłynie szczęśliwiej jak jej część pierwsza.

Pędzimy przez Kanadę przez noc całą. O świcie mijamy bagna i torfowiska ciągnące się wzdłuż jeziora Saint Clair, tworzącego rodzaj odnogi wielkiego jeziora Huron. Około 10-tej z rana przybywamy do parowego promu przewożącego cały pociąg z angielskiego brzegu na amerykańską stronę rzeki St. Clair, łączącej jezioro tegoż nazwiska z jeziorem Erie.

Wspaniała ta rzeka mająca jakie ćwierć mili naszej szerokości, toczy zwolna żółte swe nurty ku południowi. Wody jej napełniwszy najpierw jezioro Erie, wychodzą zeń pod nazwiskiem Niagary by wreszcie przepłynąwszy *Ontario* zdążyć ku morzu pod nazwiskiem rzeki Św. Wawrzyńca. Ona to jest główną arteryą tego cudnego systemu jezior obszernych jak morza i rzek szerokich i głębokich jak morskie cieśniny, które przerzynają północną część Stanów i Kanady.

Miasto Detroit leżące na amerykańskiej stronie rzeki, wygląda kubek w kubek jak wszystkie miasta amerykańskie założone wedle z góry ułożonego planu. Szerokie ulice przecinają się niby kraty i posiadają tramwaje, domy nie wysokie na sposób angielski, Kościoły nader liczne lecz niepokaźne, oto obraz miast podobnych. Nie ma w nich ani jednego gmachu zasługującego na uwagę, ani jednej ciekawości oprócz jakiej wędrownej menażeryi. Wszystko tu zbudowane dla użytku nie dla zaspokojenia poczucia piękna.

Podobne miasta szybko znudzą wędrowca. Wprawdzie jeżeli spotkasz gród jak Nowy York lub Chicago, jednostajność tych prostych jak strzała a nie malowniczych ulic znika, gdyż ruchliwość wielkomiejskich mieszkańców ożywia je i zapełnia obszary pomiędzy domami, ludźmi i powozami. Lecz wejdź do Detroit mającego li 100000 mieszkańców lub jeszcze mniejszej mieściny nowożytnej a myślisz iż chodzisz po Pompei.

Tu i owdzie widzisz osoby snujące się błędnym krokiem po chodnikach. Tylko echo ich kroków dolatuje ucha, bo z domów i sklepów nie słyszysz głosu ludzkiego. Przechodnie ci przypominają mi wędrowca zabłąkanego na stepie; domy gdzieś tam w dalekiej szarzejące perspektywie, to pewno mieszkania Beduinów lub Kirgizów.

W istocie tylko potrzeba spiekoty letniej lub mrozu i zawiei zimowych, by zmienić Detroit w Saharę lub step Kirgizów. Po szerokich tych ulicach huragan pędzi w lecie kłęby kurzu, zimowa burza buja po nich i tworzy tumany śniegowe. Porwany w objęcia wichru wśród ulicy, możesz albo zginąć pod piaskami albo śniegi cię zagrzebią, zanim zdołasz dobiedz do odległych mieszkań ludzkich. Wszelkie niebezpieczeństwa Arabii lub pustyń zauralskich grożą więc i w Detroit.

Lecz nie! jest tu sposób ratunku. W chwili gdyś zupełnie zabłądził, gdy nie możesz spotkać żywej duszy by ci wskazała drogę do pomieszkania, którego nie możesz odszukać wedle kompasu i gwiazd i znaków niebieskich nie będąc marynarzem, dolatuje cię głos dzwonka z kolumny kurzu wijącej się przed tobą.

Wkrótce ujrzysz kar tramwajowy jadący zwolna. Kar ten zawiezie cię pewno do jakiegoś ucywilizowanego miejsca, wskocz więc w niego czemprędzej.

Oprócz ciebie, dwóch bębnów w łachmanach i konduktora, nie ma w karze żywej duszy. Rozparłszy się wygodnie jedziesz jak długo cię wieść chcą za 5 centów. Wreszcie dojeżdżasz do rzeki. Nad wodą stoi hotel, ten sam w którym złożyłeś twe manatki. Gościnne jego wrota przyjmą wędrowca, wyskakujesz więc z kary i idziesz na obiad.

Współ-podróżni twoi, owi dwaj chłopacy, nie wysiadają lecz wracają napowrót ku miastu. Niezmordowani to podróżni, bo za parę godzin ujrzałbyś ich jeszcze wewnątrz wagonu. Pobywszy dłużej w Detroit dowiedziałbyś się, iż ulicznicy miejscy lubujący się w jeżdzie powozami, jeżdżą tu bezpłatnie. Konduktorowie karów chętnie nawet ich wożą po części dla towarzystwa, gdyż bez nich musieliby pędzić żywot pustelniczy, po części dla oka by kar nie wyglądał zupełnie pusto.

Wszystkie te uwagi o mniejszych miastach amerykańskich wypływają w skutek złego humoru. Pociągi kolejowe nie chodzą w Ameryce w Niedzielę, musieliśmy więc przeczekać aż do północy zanim mogliśmy wyruszyć ztąd do Chicago. Wyobraźcie sobie co to jest 14 godzin siedzieć w takiej dziurze! Jak nie pisać paszkwilów na miasto w którem nawet i piwa nie dostaniesz w Niedzielę, chyba ukradkiem.

A niezłe piwko w Ameryce! Wy kochany Redaktorze, co pewno zakosztowaliście w Wiedniu, sławnego Liezingierowskiego trunku, który prześcignął nektar tak dalece iż nawet Jowisz pozwala sobie kilka Krüglów tego piwa co wieczór, pojnujecie co to za woń, za smak i *bouquet* w dobrem Lagerbier. Otóż piwo tutejsze nie ustąpiłoby placu nawet przed Liesingerem, byleby go dostać można.

Niestety w Niedzielę, gdy zwykle człowiek bardziej spragniony jak w każdy inny dzień, szynkowanie tu zamknięte. Wprawdzie w wielkich miastach jak Nowy York lub Chicago gdzie Niemców dużo, zamykają je li dla pozoru i zawsze znajdujesz tylne drzwi otworem, lecz w mniejszych miastach przeważnie amerykańskich inaczej się dzieje niestety, bo tu zwolennicy wstrzemięźliwości i gorliwi protestanci od dawna podali sobie dłonie, do wspólnej krucyaty przeciw wyszynkowi piwa w dnie świąteczne.

Detroit nosi cechę amerykańsko-francuzką. Założone jeszcze za czasów gdy biały sztandar Burbonów powiewał nad Kanadą, zostało zaludnione po większej części francuzami. Odcięte później od styczności z Quebeckim i Montrealem, głównemi siedliskami francuzkiego żywiołu w Ameryce, zangliczało, zachowując jednak zawsze pewną odrębność zwyczajów. Gdy prąd emigracyjny z Europy do Ameryki coraz się wzmagać począł i nawet Francuzi porzucali ojczyznę by za morzem lepszy byt sobie zdobyć, dużo tych ostatnich przybyło do stanu Michigan (czytaj Miszigan) i do stolicy jego, Detroit. Dziś wychodźcy alzacko-lotaryńscy umykający przed niemcami, gromadzą się do Detroit, miasto przybiera więc coraz więcej żywiołów latyńskich. Mówiono mi iż połowę ludności stanowią tu przybysze z Francyi.

Sam stan Michigan, przez którego całą szerokość przejeżdżamy udając się do Chicago, okryty powiększej części lasami przypomina Kanadę. Wszędzie pieńki sterczą na łanach i domy rolników budowane z kłód złożonych na krzyż. Dopiero po nad brzegami jeziora Michigan, gdzie stan Illinois się rozpoczyna, wjeżdżamy na szerokie i jak stół gładkie stepy, czyli prairies amerykańskie.

Jazda nasza z Detroit do Chicago nie odbywała się już w emigranckim pociągu, gdyż tak mało było emigrantów na stacyi w Detroit, iż nieopłaciłoby się kompanji osobne dla nich wyznaczać kary. Wsadzono więc nas do powozów w ławach wybitych. Gdy w Niedzielę w nocy nie wiele osób podróżuje w Ameryce mieliśmy dość miejsca do spania. Rano zapaliwszy w piecach i nagotowawszy czarnej kawy, mogliśmy *cum otio et dignitate* spoglądać z okien na obszar jeziora i na mieściny mijane po drodze. Już nikt nie wytykał nas palcami jako greenhornów, konduktorowie nawet obchodzili się z nami jak z ludźmi. Widocznie wybrnęliśmy z atmosfery Nowego Yorku.

Jezioro o którem wspomniałem nie posiada ani romantyczności jezior europejskich ani też przypomina morze. Chociaż jak daleko wzrokiem sięgniesz ujrzysz tylko wodę, lecz żółta jej barwa niemiłe sprawia wrażenie. Szum ów dziwny mieszkańcom nadmorskich krajów, i tu jednak dolatuje ucha—jest to szum fal rozbijających się o brzegi; smętny, nieprzygłuszający innych tonów a przecież tak donośny iż wśród nocy cichej i pogodnej, usłyszysz go o mil kilka.

(d. c. n).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Z Paryża.

Zaległem czas jakiś w przesłaniu zwykłej korespondencyi, ale doprawdy nie ze zwyczaju tylko powtarzam: że o treść do niej coraz trudniej. Teatra odgrzebują dawne arcydzieła znane już niezawodnie naszym Czytelnikom, lub dają nowości tak niewiele warte że o nich wspominać nie warto. Belletrystyka, powieści i romanse coraz jakoś mniej mają znakomitych przedstawicieli: Balzaca nikt dotąd zastąpić nie umiał: Sand zestarzała się i znać to w jej ostatnich utworach: gdyby była zawsze podobne tylko pisała, najniezawodniej nie pozyskałaby rozgłośnej sławy ani wielkiego majątku jaki dziś posiada, Piszących jest bardzo wielu, ale genialnych pisarzy bardzo mało: jeden Feuillet wzniósł się wysoko po nad zastępy mierności.

Drugiego równego mu romansopisarza Francya dziś nie posiada, ale on pisze a przynajmniej drukuje bardzo mało, i w ostatnich czasach własnowolnie oberwał kilka listków z wieńca swej sławy, przedstawiając na scenie „Sfinx'a,“ który najzupełniejsze zrobił *fiasco.* Doprawdy nie pojmuję jak tam sobie redakcye warszawskie radzą z powieściami tłomaczonemi bo większość nowości nie tylko przekładu ale czytania nie warta; albo wstrętne i skandaliczne, albo znów czcze i nudne do nie zniesienia. List wasz, Redaktorze, odebrałem w dzień zaduszny, właśnie po powrocie z wycieczki na kilka cmentarzy paryzkich, które w tym dniu nadzwyczaj licznie bywają zwiedzane. Nie każdemu zapewnie wiadomo, że Paryż posiada 20 oddzielnych cmentarzy; w tym roku według przybliżonych obliczeń w dzień Wszystkich Świętych i Zaduszny, zwiedziło je przeszło 700000 osób.

Dziwny bo też to i sprzeczny sam z sobą jest ten lud paryzki; nie ma pewnie na świecie więcej sceptycznego i pomiatającego wszystkiem, więcej lekceważącego wszelkie sławy, wyższości i znakomitości, jeźli nie z jego wyszły łona, więcej wynoszącego się nad wszystkich i nad wszystko. Paryżanie nie wiele dbają o życie i o żyjących; przeszłości swej nie znają prawie i jest im obojętną niemal, przyszłości nie przewidują i nie bardzo się o nią troszczą. Lud ten nie jednokrotnie nienawidzi dziś co ukochał wczoraj: zmienny jak wiatr i zdradliwy jak morze; nie wiele w co wierzy i wszystkiemu niedowierza; umie być dzikim, gwałtownym, niewiernym, ale posiada jedną wielką i niewzruszoną cnotę; uważa cmentarze za miejsca święte i niezmierną czcią otacza zmarłych swoich.

Jakkolwiek nikt z krewnych moich nie spoczywa na żadnym z cmentarzy paryzkich, ale przez pamięć dla współziomków którzy tu kości swoje złożyli, poszedłem odwiedzić miejsca wiecznego ich spoczynku. Iluż to z nich pozostawiło w kraju rodziny i drogie sercu osoby, którym los tej nawet odmówił pociechy aby mogły zapłakać nad mogiłami ukochanych!...

Otóż odpowiadając na wezwanie Wasze Redaktorze, postanowiłem podzielić się z Czytelnikami dość ciekawemi wiadomościami jakich mi udzielono o cmentarzach i obrzędach pogrzebowych paryzkich, dawniejszych i tegoczesnych. Dziś tak wszystko ulega zmianie, że jeźli nie można przepisać innej formy śmierci, najzupełniej przynajmniej zmieniono sposób przybywania na miejsce wiecznego spoczynku.

Co kraj, to obyczaj, u nas od wieków jest i było przyjęte, że cała rodzina, przyjaciele i znajomi obojej płci, zgromadzają się na pogrzeb, ostatnią zmarłemu oddać posługę; tu przeciwnie kobiety nigdy nie bywały na pogrzebach, i dopiero od lat kilku niekiedy przyjmują w nich udział. Jeden rzut oka na bilet zapraszający na pogrzeb, daje poznać do jakiej klassy społecznej zmarły się zaliczał. W tak zwanym wyższem towarzystwie, wdowa nigdy nie zaprasza na pogrzeb męża, gdyż zgodnie z tradycyonalnym obyczajem dawnej szlachty, przez całe sześć pierwszych tygodni nie powinna nic wiedzieć o ludziach i o świecie, i zamknąć się w zupełnej samotności. Przeciwnie w klassach niższych, jak n. p. w mieszczańskiej i rzemieślniczej, zaproszenia pochodzą zawsze od żony zmarłego, aby dać dowód że była rzeczywistą jego żoną i że obecnie tak w procederze jak w rodzinie zastępuje jego miejsce.

Dawnemi czasy inaczej się działo; zamiast zaproszeń osobistych, ograniczono się na tak zwanych przysięgłych ogłosicielach, którzy o jakiej bądź godzinie, w dzień czy w nocy, chodzili z dzwonkami po ulicach i dzwoniąc wołali:

Zbudźcie się wy, którzy śpicie, módlcie się za dusze zmarłych!

I ogłaszali wszem w obec, imię i nazwisko, miejsce zejścia i godzinę pogrzebu. Ubrani byli w wielkie

białe kapy zasiane czarnemi łzami i trupiemi główkami, spoczywającemi na skrzyżowanych kościach; za ich ukazaniem się na ulicach, dzieci uciekały z krzykiem, a psy zaczynały wyć niemiłosiernie — tak przynajmniej opisują dawniejsi pisarze. Ubiór ten mający być przerażająco ponurym i strasznym, stał się nareszcie śmiesznym, i dla tego zmieniono go na długą czarną togę, jaką po dziś dzień noszą francuzcy adwokaci. Gdy postępowali za pogrzebem osoby wyższego urodzenia, przypinali sobie na piersiach tarczę papierową, na której namalowany był herb osoby zmarłej, jak to dziś miewa miejsce po bokach karawanu.

W wieku XIII-ym takich ogłosicieli było dwunastu, za Ludwika XIV liczba ich wzrosła do dwudziestu-czterech, a z powstaniem rewolucyi trzydziestu. Lecz nie poprzestawali na samych ogłoszeniach o śmierciach i pogrzebach, według postanowienia z roku 1415 wolno im także było okrzykiwać o sprzedaży win, o zaginionych dzieciach, psach, i t. p. Nie było to rzemiosło zapewniające jakieś wysokie stanowisko społeczne, ale za to bardzo zyskowne; gdyż za każde ogłoszenie, należało im się 5 *ówczesnych susów paryzkich*, co na owe czasy miało swoje znaczenie. Prócz tego owi „dzwonnicy zmarłych" jak ich nazywał lud paryzki, mieli prawo dostarczać wszelkich przedmiotów niezbędnych do pogrzebów osób prywatnych, magnatów a nawet i królów.

Mieli różne swoje przywileje, ale za to z obowiązku musieli bywać na pogrzebach królów, królowych i książąt krwi, ubrani w długą togę, ze srebrnemi dzwonkami w ręku. Dziś zastąpiła ich administracya obrzędów pogrzebowych, ale żaden z jej urzędników nie jest obowiązany bywać na czyich bądź pogrzebach. I duchowieństwo dziś całkiem odmienny przyjęło zwyczaj; wyjąwszy w nader rzadkich okolicznościach nigdy księża nie prowadzą pieszo pogrzebów choćby najznakomitszych osób, tylko jadą w powozach. Jeszcze w przeszłym wieku, jeźli duchowni chcieli wielką cześć okazać zmarłej osobie, wtedy jak pisze *Journal de Barbier* z 10 lutego 1740 r. zamieniali się w konnych rycerzy.

„Zwłoki księcia de Bourbon, złożono na ośmio-konnym karawanie a baldahim podtrzymywało czterech księży jadących konno." (d. n).

POGADANKA.

Sanna w Warszawie przycichła. Mamy wprawdzie trochę śnieżycy błotnej, troszkę przymrozków przeplatanych odwilżą, nawet maruderów wożących się sankami, ale jak na teraz sanna prawdziwa wypowiedziała zimie posłuszeństwo.

Piszą w telegrafach gazeciarskich że w Azyi mniejszej z mrozami i śniegiem rady dać sobie nie mogą, że zaspy śnieżne nie tylko zabarykadowały ludzi w domostwach wiejskich, ale nawet poprzerywały komunikacyą z miastami. Jeżeli to prawda... czyż można wątpić? Niestety! można, nawet w tak błachej rzeczy jak mroźne i śnieżne zawieje. Wyzyskiwanie wszystkiego co tylko korzyść przynosi w wieku naszym niby wielkiej oświaty, rozwija się z szybkością parowozów pędzących po kolejach żelaznych. Nowinki, ploteczki, wiadomostki rozmaitej treści, to towar niezmiernie pożądany, przysparzać go więc jak najwięcej, fabrykować w rozmaitych daniach, na tle nauki, podziwu, dramatów strasznych lub komicznych wydarzeń, przyodziewać w szaty rozczulania a nawet zapału patryotycznego, stało się obecnie tak dobrem zajęciem, jak każde inne za poczciwą pożyteczną pracę zarobek przynoszące w darze. Od tej kuźni wyzyskiwaczy publicznej ciekawości, prasa nasza peryodyczna długo była wolną z nowemi żywiołami wciśniętemi do niej, wsunęła się także i cudzoziemska blaga i z dniem każdym rozszerza się z coraz większą gwałtownością. Były z tego już nawet małe awanturki, groźby, skargi i wyznania zakończone ukorzeniem się niecnego winowajcy, mimo tego nie zejdzie dni kilku aby fałsz nie został wytknięty, aby nie zaprzeczono temu co wczoraj za prawdę głoszono.

Nowy dowód tego mamy na artykule pomieszczonym w Wieku, o powtórzenie którego proszeni, nie mogliśmy odmówić tak słusznemu żądaniu ze względu choćby tylko samej już sprawiedliwości.

Szanowny Panie Redaktorze.

W jednym z pism Warszawskich ukazał się niedawno artykuł, zarzucający nie wymienionej wprawdzie z nazwiska tutejszej fabryce wyrobów tabacznych, że w liczbie osób, bądź w niej pracujących (robotników i robotnic), bądź zajętych tamże kierunkiem jej i nadzorem (urzędników i oficyalistów), większość pochodzenia jest zagranicznego, i że żywioł krajowy, naturalnie jakoby skutkiem widocznej dla niego niechęci, słabo tylko w niej jest reprezentowany.

Wiadomość ta którą skwapliwie przyjęły i powtórzyły natychmiast inne pisma publiczne, jakkolwiek słusznie przykre u ogółu wywołała wrażenie, mogłaby jednak nie zwrócić na siebie *naszej* uwagi, gdyby nie dochodząca nas z kilku stron pewność, że zawarta w niej potwarz wymierzona była z za węgła do fabryki towarzystwa „Union," i że głosy interesowane, roznoszące wieść tę po mieście i kraju, zaczynają już u publiczności wiarę znajdywać.

Jest to nowy dowód na prawdę odwieczną, iż każda potwarz, niechby najbardziej nieuzasadniona, najłatwiej za lada pierwszem sprawdzeniem dająca się stanowczo odeprzeć, zawsze jednak na chętne natrafia ucho, oraz, że przewrotność, zwłaszcza gdy własny interes ma na widoku, nie przebiera nigdy między środkami, byle tylko dotrzeć do celu, którym bywa zwykle zdyskredytowanie i potępienie współzawodnika. W obec jednak pewności, jaką o istnieniu takiego zamiaru i rozpoczętem już wprowadzeniu go w wykonanie nabyliśmy, czujemy się w obowiązku uciec się z naszej także strony do pośrednictwa prasy, by przeciw rozsiewanym podstępnie wieściom fałszywym, wystąpić otwarcie i (o ile nas by mogły dotyczeć) jawnie kłam im zarzucić.

Znając, Szanowny Panie Redaktorze, wysoką bezstronność kierowanego przez Ciebie organu, który szkodzących cudzej sławie lub interesowi pogłosek, bez należytego sprawdzenia ich, nigdy w szpaltach swych nie zamieszcza (co i teraz zapewne godnym najwyższego uznania było powodem, że artykułu powtarzego, wspomnionego powyżej, „Wiek" czytelnikom swoim nie podał), wiedząc oraz, że pisma Twojego powaga najprędzej może wątpiących jeszcze nakłonić, by o stanie rzeczy istotnym przekonali się naocznie na miejscu (ku czemu tych wszystkich, których sprawa przemysłu krajowego obchodzi, najuprzejmiej niniejszem zapraszamy), zwracamy się prosto do Ciebie, Panie Redaktorze, z prośbą zamieszczenia w jednym z najbliższych numerów, następującego objaśnienia:

Fabryka wyrobów towarzystwa „Union" w Warszawie, pod względem wielkości, zasobności i ilości dostarczanego przez nią produktu, po istniejącej w Strasburgu, zakład podobnego rodzaju drugi z rzędu w Europie, zatrudnia przeszło 700 robotników, na czele których stoi administracya, złożona z 26 urzędników i officyalistów. Otóż w liczbie pierwszych, to jest robotników, ani jednego, ale w całem znaczeniu wyrazu *ani jednego* nie masz nie krajowca, a różnią się oni tylko między sobą wyznaniem, nie pochodzeniem. I tak mianowicie: około 650 pomiędzy niemi jest katolików, około 50 ewangelików i starozakonnych, *wszystkich* zgoła tu w kraju zrodzonych. W podanej powyżej liczbie 26 urzędników i officyalistów, tylko *trzech*, a z tych dwaj od lat 20 w kraju tutejszym zamieszkali, inni zaś bez wyjątku są krajowcami.

Taki jest prawdziwy stan rzeczy, który, powtarzamy to, w każdej chwili, przez każdego może być na miejscu osobiście sprawdzony, ku czemu wszelkich możliwych ułatwień poczynić nie omieszkamy.

Racz przyjąć, sz. Panie Redaktorze, i t. d.

Zarząd fabryki wyrobów tabacznych „Union"
dawniej Leopolda Kronenberga w Warszawie.

Do wyjaśnienia tego nic nie dodajemy, musimy tylko zrobić uwagę, że każde przedsięwzięcie rozwinięte choćby cudzoziemskiemi kapitałami, byle nie usuwało w niem pracy mieszkańców krajowych, jest dla całego kraju niezmiernie pożyteczne, bo wytwarzając to czego nie było, przybywając z nowym kapitałem, uwięzionym w odpowiednich zakładach, narzędziach, zapasach i t. p. mnoży bogactwo ogólne i wpływa pomyślnie na rozwój wszystkich kółek pracy społecznej. Zazdrość jednak wciska się wszędzie, psuje, osławia, zniechęca i nie mogąc stanowczo zaszkodzić, pragnie choć podkopać powodzenie, jakby ten co się go spodziewa, zrabował zazdrosnego i chciał mu zabrać własność do niego należącą.

Pan Daniszewski np: dziedzic dóbr Kiełcznia, bez żadnych dla siebie widoków korzyści, jedynie z poczucia obowiązku obywatelskiego, podjął się odwrócenia prądu Wisły od strony Pragi ku Warszawie i to środkiem niezmiernie tanim kilkaset zaledwie rubli wynoszącym, a używanym przez siebie od lat kilkunastu z najlepszem powodzeniem. Władza wyrozumiawszy rzecz należycie, udzieliła potrzebną pomoc na utworzenie tamy przez zatapianie koszy napełnionych ziemią, spodziewać się więc należało, że wszelkie proroctwa niepowodzenia nie wystąpią tak na razie, i dopiero zazdrość w tenczas uderzy na p. Daniszewskiego, gdy mu się noga powinie jak niektórzy tego pragnęli i spodziewali się. Inaczej się jednak stało, gdyż zaledwie robota rozpoczętą została i to w warunkach jak najnieprzyjaźniejszych dla siebie, zaraz znalazł się głos w jednej z Gazet dowodzący, że sposób podjęty do utworzenia tamy nie jest żadną nowością, że nie zapewnia trwałości a pożytek niezmiernie wątpliwy. Tymczasem p. Daniszewski robił swoje, palił ognisko, wyplatał kosze, napełniał, zatapiał i nurt Wisły po każdym dniu pracy zwracał się ku Warszawie, tak że już dziś jest prawie pewnością, iż go zwróci stanowczo od Pragi ku przeciwnemu brzegowi. Być może że tama nie będzie wieczną ale choćby i dziesiątek lat wytrzymała, za kilkaset rubli wydanych na nią przyniesie milijony w korzyści i posłuży jako przykład do zabezpieczenia brzegów całej Wisły, czego od tak dawna na próżno wyglądamy.

Usuwania także wszelkich nieczystości miejskich ze względem na zdrowie mieszkańców, pragnie podjąć się kompanja angielska według sposobu przez siebie w Glazgowie zaprowadzonego. Zdawało się że i w tym razie należało się powstrzymać z wszelkiemi niekorzystnemi uwagami dla projektu tak ważnego dla miasta, dopóki wysłany znawca do Glazgowa nie powróci i nie ogłosi postrzerzeń zrobionych na miejscu. Nie miano jednak cierpliwości, i zaraz wystąpiono z krytyką wystawiającą jak najniekorzystniej całe przedsięwzięcie, tak że dziś mimowoli rodzi się obawa, czy to czego tak na gwałt potrzeba nie skręci karku i na długie nieprzeciągnie się lata.

Oprócz koncertów już odbytych i spodziewanych, jeden zapowiedziany na korzyść biednych uczniów gimnazyalnych obudził ogólne zainteresowanie. Kronikarz Tygodnika Illustrowanego wspominając o nim,

powiada, że odwoływania się biednych rodziców do pomocy i współczucia obcych, czynią dziwnie smutne wrażenie; więc aby zdobyć odrobinę światła trzeba się *zniżać* aż do jałmużny? Wrażenie to niemiłe kronikarza podzielamy zupełnie, z tą tylko różnicą, że tego *zniżania się*, później przez niego usprawiedliwionego, nie osłabiamy we właściwem jego znaczeniu. Co *poniża* to niczem się nie da usprawiedliwić, a jak w tym wypadku przynosi nawet szkodę społeczną. Energija w działaniu, samodzielność, zaradność, wytężenie myśli do ostateczności, to także bogactwo którego im więcej społeczność jaka posiada, tym dzielniej o własnych siłach rozwija się w kierunku ogólnego dobrobytu. Wytwarzać je należy od lat najmłodszych, od pierwszej chwili gdy dziecię wyciągnie rączkę do jakiego przedmiotu i póty będzie usiłować dopóki go nie dosięgnie o własnych siłach bez obcej pomocy.

Na prawdę tę mało zwracamy uwagę, czy zaś z uczących się dla których przez pisma wyżebrywano, ubiór, książki, należytość wpisową, zasiłki doraźne; wyrosną na ludzi samodzielnych i zaradczych, wątpić bardzo należy.

Niegdyś w szkołach miałem kolegów, zarabiających posługą lokajską na życie i wraz ze mną uczących się: był jeden dziesięcioletni nie mający żadnych funduszów na książki, papier, pióra, buty, wynalazł jednak parę lekcyi nauki czytania i pisania po rublu miesięcznie, wyszperał jakieś przepisywanie, dość że nie wyciągnął ręki po jałmużnę, mundur zszywał, buty łatał, pióra porzucone zbierał, dosiedział nocy, czasem głodny spać poszedł, ale koniec końcem uczył się, później sam się utrzymywał, jadał obiady pod Wazą za gr.25 i dziś jest panem pół milijonowym powstałym jedynie z własnej pracy i zabiegu. Jeżeli ktoś powie że dawniej łatwiej było jak dziś, to się myli. Zdobycie utrzymania choćby najskromniejszego względnie do czasu, zawsze było, jest i będzie trudne. Kto dziś nieradny i w przeszłości byłby takim, kto dziś patrzy na cudze ręce aż go nakarmią, ten zawsze podobnej wymagałby usługi. Samodzielność to przymiot o którym wiele mówimy i piszemy a przygłuszamy ją wszystkiemi sposobami, tak, że *daj!* stanie się wkrótce jednym wielkim głosem i jedną wyciągniętą ręką. Wartoby się nad tem zastanowić.

Cieszmy się jednak, o to coś mówią o otworzeniu w Warszawie szkoły felczerek, a p. I. S. w Broniszewie powziął zamiar założenia w majątku swoim Szkoły ogrodniczej. Wprawdzie jedna szkoła nie wiele znaczy, ale że zamiar utworzenia jej jest myślą czysto prywatną wiejskiego obywatela, zasługuje to na uznanie i wielką pochwałę.

Na nadchodzącą gwiazdkę dla młodej dziatwy, polecić mogę *Loterykę Geograficzną* wydana przez L. Bierschenka do której może należeć sześć osób lub dziesięć, lub wreszcie mniej według upodobania.

Jest to zabawka rzeczywiście pouczająca a zasadza się na tem, że wyczytane na wyciągniętej marce nazwisko jakiej miejscowości każdy według zasady gry szuka na mapce i przykrywa znaczkiem.

Tym sposobem tworzą się terna, kwinterna, a wygrywa stawkę kto najpierwszy miejsc 20 naznaczy.

Zabawka ta kosztuje na osób dwie do sześciu rs. 2. na osób dwie do dziesięciu rs. 2 kop. 50.

Od Redakcyi.

Z kończącym się rokiem bieżącym, podajemy do wiadomości, że Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1875, wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, tylko z więcej rozwiniętym programem co do pracy społecznej, z systematycznem przeprowadzeniem zasad i warunków w jakich się winna rozwijać, aby przyniosła spodziewane owoce.

Obszerniejsze objaśnienie udzieli prospekt który wkrótce dołączymy, że zaś uporządkowanie ekspedycyi na rok przyszły wymaga wiele czasu i zachodu w przygotowaniu adresów, od czego znów spieszne wysyłanie pierwszych numerów Tygodnika zależy, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie *wprost do Redakcyi* należytości prenumeracyjnej, gdyż tylko tym jedynie sposobem usunąć można zawód i różne nieporozumienia, jakie zwykle przy pośrednictwie drugich wydarzają się. Prosimy przytem aby o ile można prenumerata przysełaną była przynajmniej półroczna, gdyż według przepisów obowiązujących, należytość za przesyłkę pocztową wnoszoną być musi z góry także półrocznie, nie prenumerujący więc w drugim kwartale, naraża Redakcyą na niepowrotną dość znaczną stratę.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80**

na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	. . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie	. . . .	**rs. 5 — —**
Rocznie	. . . . .	**rs. 10.**

Polecamy przytem Rodzicom, Nauczycielkom i Nauczycielom:

„Przyjaciela Dzieci.“

Pismo tygodniowe illustrowane, którego wpływ zbawienny uznany powszechnie na młodych jego czytelników, z każdym rokiem powiększa liczbę jego prenumeratorów. Jest on jedynem u nas pismem tego rodzaju, które bawiąc uczy i wdraża zasady poczciwe zarówno w małe dzieci rozpoczynające naukę czytania, jak i stale uczące się czy to w domu czy w publicznych naukowych zakładach. Przytem cena prenumeracyjna jego jest tak małą, że tylko bardzo ubogie rodziny nie mogłyby się zdobyć na jego zaprenumerowanie.

Co do wpływu zbawiennego pod względem moralnym na młode pokolenie, mamy na to dowody w licznych listach Rodziców dziękujących za poprawę dziatek swych, skutkiem jedynie czytania *Przyjaciela Dzieci.* Do nich więc odwołujemy się: w wielkiem zadaniu społecznej pracy, dobre wychowanie podrastającego pokolenia, jest najważniejszem zadaniem i podwaliną pomyślności społecznej w przyszłości. Teorye bowiem najchwalebniejsze nie wejdą w życie ogółu, jeżeli braknie ludzi do ich wykonania, wszystko zatem co tylko do ich przysposabiania posługuje, chętnie podejmowane być winno. *Przyjaciel Dzieci*, jest jednym z tych środków niezmiernie skutecznych, gdyż bawiąc, uczy, poprawia i wdraża wszystko to, co Rodzice pragną, aby stało się skarbem serca i duszy ich dziatek.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	. . . . .	**rs. 1.**
Półrocznie	. . . . .	**rs. 2.**
Rocznie	. . . . . .	**rs. 4.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści, i Przyjaciela dzieci, w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu K. G. Szkic dramatyczny „Młoda Zakonnica,“ nie może być pomieszczony w Tygodniku.

Sprostowanie.

W Nr 47 Tygodnika Mód w artykule „Biblijoteka Warszawska“ umieszczonym pod rubryką. „Przeglądu Literackiego“ zaszły następujące ważniejsze pomyłki:

Str. 7. Szpalta 1 wiersz 28 zamiast *przyczyna* do kwestyi woli i t d. ma być *przyczynek* do kw. w. i. t. d.

— Szpalta 2 wiersz 7 zamiast *biblijoteka francuzka* powinno być *biblijografija francuzka.*

— Tamże po wier. 54 opuszczono cały wiersz. Ustęp powinien brzmieć tak: *„w wadliwej deklinacyi imienia „Ksenofon“ od którego 7 przyp. brzmi po polsku „Ksenofoncie“ a 2gi „Ksenofonta“ nie zaś „Ksenofonie“ (wrzesień str. 452) „Ksenofona“ (październik str. 78 i 106, z francuzka de Xenophon).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.